

PIERWSZE CIENIE

Jest piąta rano. Nie może spać. Otwiera oczy i wyczekuje pierwszych skojarzeń. Ciemność i miłość. Ich boi się najbardziej. Ciemność i miłość, stojące pozornie po przeciwnych stronach piramidy emocji. Ciemność to przenikający chłód i rozlewająca się po ciele rozpacz. Ciemność to ziemia, w której spoczywają rodzice. Miłość to piękna, choć ulotna, nagroda od losu. Uśmiecha się lekko, obracając sztywne ciało w stronę zaśniewzonego okna. Kocha syna, rzadko kocha całą resztę. Wiarę w miłość pochowała w dniu śmierci rodziców. Nieoczekiwana łza ospale spływa po policzku. Patrzy nieruchomo na sypiący w oddali śnieg. Z ogromnym wysiłkiem odgania czarne, natrętne myśli i zamyka powoli mokre oczy. Sen jest wybawcą, cichym współnikiem. Zasypia prawie natychmiast. Oddała niespokojną duszę w czarną, zimną pustkę.

– A gdyby mogła pani wybrać sobie pracę, o jakiej zawsze marzyła, co by pani właściwie robiła?

W pierwszej chwili nie była w stanie otrząsnąć się z wrażenia, jakie wywarło na niej to z pozoru proste pytanie. Uśmiechnęła się lekko i przymknęła powieki. A zatem tak czuje się osoba, która doznaje *déjà vu*. Zabawne, że kilka lat wstecz sama z dozą pewności pytała dokładnie o to samo swoich przyszłych pracowników. Czy aby na pewno gotowa była wrócić do pracy? Czy było możliwe odbudowanie pewności siebie i poczucia siły, która napędzała ją do dawania z siebie więcej każdego dnia? Przez chwilę miała wątpliwości. Usłyszała w głowie znajome głosy tłumiące jej zdecydowanie i decyzyjność. Rozejrzała się po biurze i dojrzała szczegóły, które wcześniej umknęły jej uwadze. Na ścianie wisiał sporych rozmiarów obraz. Przedstawiał piękną czarnoskórą kobietę, która przebijała się przez zatłoczone centrum Londynu. Na szczyptych nogach miała szpilki w kolorze krwistej czerwieni. Kontrastowały z jej idealnie skrojonym szaro-czarnym kostiumem *à la Chanel*. Piękna, silna kobieta sukcesu na jednej z najbardziej obleganych ulic Londynu. Mimo bijącej z postaci kobiety pewności siebie dojrzała w jej oczach tajemnicę. Smutek, melancholię? Wyraźnie zobaczyła rysę szarej emocji niepasującą do reszty obrazu. Ten wydał się jej teraz jeszcze piękniejszy. Sekret skrywany w oczach

kobiety w czerwonych pantoflach dodawał gabinetowi specyficznej aury. Nagle zrobiło się intymnie. Poczwała, że mogłaby zostać w biurze pana Andersona na zawsze. Było tu przytulne i intrygująco. Jasne ściany wypełniała nowoczesna sztuka. Błyszczące, nagie, kamienne podłogi kontrastujące z kancianymi, drewnianymi meblami. Po prawej stronie pod ścianą, tuż za fotelem pana Andersona stała ciężka mahoniowa witryna z literaturą na temat zarządzania i rynków finansowych. Nie zdziwiła jej masa książek wypełniających półkową przestrzeń, wręcz przeciwnie, uznała, że książki były, tak jak sam pan Anderson, niezbędnym elementem tego klimatycznego miejsca. Większości tytułów nie znała. Orientowała się, że pan Anderson uchodził wśród swych kolegów z branży za eksperta, był mentorem dla wielu, kopalnią wiedzy i doświadczenia. Nieraz czytała jego prace i głęboko wierzyła, że na jego mądrość miały wpływ lata edukacji i praktyki. Siedząc w gabinecie, otulona poduchą ciężkiego mahoniowego fotela, zapragnęła przeczytać każdą z tych książek z osobna, dowiedzieć się jak najwięcej o świecie i o tym, czym interesował się jej rozmówca, by móc któregoś dnia wrócić w to miejsce i wdać się w kulturalną rozmowę z tym szanowanym człowiekiem.

Nie wiedziała, ile czasu upłynęło, zanim na powrót wyprostowała zgarbione plecy, pochyliła się lekko do przodu i splotła dłonie w typowy dla siebie sposób, gotowa odpowiedzieć na zadane pytanie.

– Panie Anderson – powiedziała rzeczowo, patrząc w oczy rozmówcy. – Gdybym miała wybrać sobie zajęcie, o jakim zawsze marzyłam, chciałabym być architektem. Ogromną radość przynosiłoby mi planowanie i stawianie budowli, które stałyby się użyteczną i piękną częścią naszego krajobrazu. Pragnęłabym wierzyć w to, że buduję je na wieczność.

Pan Anderson wyostrzył wzrok i spojrzał na nią z nieudawaną ciekawością. Miał w oczach mądrość, łagodność i smutek podobny do tego, który dojrzała chwilę wcześniej w oczach kobiety z obrazu. Wyraz jego oczu zachęcał do mówienia. W tamtej chwili zapragnęła go zapewnić, że nie warto czymkolwiek się zamartwiać, że wszystko się jakoś ułoży. Życie wprawdzie zawsze się jakoś układało.

Oliwia zerknęła na miłą twarz naprzeciw i powróciła myślami do tematu.

– Mogłabym też malować. Widzę siebie zamkniętą w małej zakurzonej pracowni na poddaszu jednej z kamienic ósmej dzielnicy Paryża. Pochyliłam się nad wielkim białym płótnem, które zapelnia się gamą kolorów, tworząc nietuzinkowy obraz przepięknej Sekwany i wąskich, pobliskich uliczek. – Zrobiła pauzę, by zaczerpnąć powietrza przed następnym intymnym wyznaniem. – Panie Anderson, jak pan zapewne zauważył, mam ogromne serce do sztuki i potrafię dostrzec jej piękno, niestety rozczaruję pana, gdyż nie posiadam ani jednego talentu, który umożliwiłby mi choć w części realizację moich

marzeń. – Przerwała, by przeanalizować skutek, jaki przyniosły jej słowa.

Pan Anderson najwyraźniej się zdziwił, posmutniał jeszcze bardziej, po czym opadł ciężko na fotel. Czowała jednak, że ten szanowany człowiek wyczekiwał końca wątku. Wiedząc, że pan Anderson oczekuje meritum, dodała:

– Jedno wiem na pewno. Mam rzadki talent do zarządzania ludźmi. Przez ponad dziesięć lat kierowałam zespołem jednej z najbardziej prestiżowych firm branży konsultingowej. Potrafię słuchać i wymagać. Ogromną przyjemność sprawia mi praca z ludźmi. Wkładam w nią całą siebie. Jestem świetna w tym, co robię, i jeśli szuka pan skutecznego i pracowitego członka zespołu, właśnie go pan znalazł.

Ostatnie zdanie podkreśliła wyraźniej niż resztę wypowiedzi. Jej twarz okazywała zachwyt. Niemniej poczuła, że czas się zbierać.

– Bardzo panu dziękuję za poświęcony czas. Rozmowa z panem była dla mnie ogromną przyjemnością. – Wstała może zbyt energicznie, by mu podziękować. Bała się jednak, że ogrom przyjemnych wzrokowych doznań zatrzyma ją w tym miejscu zbyt długo. Lekko wyciągnęła do niego dłoń i po raz ostatni spojrzała w melancholijne oczy pana Andersona. Z lekkim uśmiechem na ustach opuściła gabinet.

Szła ulicami Warszawy, pozostając pod wrażeniem spotkania. Nie zauważyła, kiedy zaczął padać śnieg z deszczem. Zimowe powietrze wyostrzyło się, wokół

unosił się zapach zamarzniętej ziemi. Zdawało się, że chłód listopadowego poranka otaczał wszystko i wszystkich dokoła. Przenikał zakamarki miasta, przeganiając przechodniów z domu do domu. Kilku śmiazków przemykało pospiesznie, nie zwracając uwagi na bliskie im otoczenie. Szarobure postacie, otulone w szarobure płaszcze, schowane pod czarnymi, wielkimi parasolami. Warszawa tego listopadowego poranka, zmarznięta i bezbarwna, w niczym nie przypominała bliskiego jej sercu Sopotu. Sopotu, za którym tęskniła coraz bardziej. Stojąc w sercu obcego miasta, zimnego i anonimowego, Oliwia utwierdziła się w przekonaniu, że listopad w jej rodzinnych stronach zawsze był klimatycznym, romantycznym miesiącem. Co z tego, że wiało i często padało, co z tego, że parki bywały zimne i puste, a Monte Cassino ani trochę nie przypominało zatłoczonej promenady nadmorskiego kurortu. Ile by dała, aby znaleźć się tam teraz, zaszyć w ciepłej kawiarni z widokiem na morze i patrzeć godzinami na rozbijające się o molo fale. Sopot ma duszę, Warszawa tylko możliwości.

Przyspieszyła kroku. Tak daleko do wiosny, pomyślała, tak cholernie długo jeszcze trzeba czekać. Skrzyła w boczną uliczkę i znajomym skrótem skierowała się w stronę Wilczej. Do domu miała kilkanaście minut spacerem. Idąc szybkim krokiem, poczuła zapach świeżo zmielonej kawy, unoszący się z małej kafejki. Postanowiła jednak kontynuować wędrówkę

bez robienia zbędnych przystanków. Jak dobrze pójdzie, przemknie szybko ulicami i będzie za chwilę na miejscu. W domu zdejmie z siebie przemoczony płaszcz, usiądzie w ulubionym fotelu i napije się gorącej kawy. Zdecydowała, że do Janusza zadzwoni już z domu. Otuliła się ciepłym szalem i nie wiedząc kiedy, powróciła myślami do spotkania z panem Andersonem. Zastanawiała się, co też robił w nowoczesnej, jaskrawej do bólu korporacji. Dekada doświadczenia w branży finansowej i lata edukacji na zagranicznych uniwersytetach niemalże wynosiły jego szanowaną osobę na stanowisko CEO – jednego z dobrze prosperujących banków rynku finansowego. Tymczasem w Google pan Anderson zajmował stanowisko dyrektora generalnego pionu eventów. Przed rozmową przejrzała strukturę Google i była pewna, że stanowisko, które piastował, plasowało się dość wysoko na szczeblach organizacji. Było jednak zaledwie namiastką tego, co mógłby robić tak wybitny człowiek. Nie opuszczało jej wrażenie, że pan Anderson do Google zupełnie nie pasował ze swoim doświadczeniem i wszechstronnym wykształceniem. Minęła brudną zamarzną kałużę i zatrzymała się na światłach. Doszła do wniosku, że ani on, ani jego dekadentkie biuro nie wpasowywało się w młodą, energiczną kadrę zarządzającą. Zaczęła niemalże żałować, że podczas porannej rozmowy nie spytała go wprost o powód jego zatrudnienia w miejscu tak dynamicznym i tak innym niż on.

Szła dłuższą chwilę zamyślona i nieobecna, gdy nagle do głowy wpadła jej pewna myśl. Stała przed przejściem dla pieszych, by ułożyć w głowie swoje przypuszczenia. Uznała, że pan Anderson nie trafił do Google przez przypadek. Wiele długich lat poświęcił, pracując z rekinami rynków finansowych, napisał mnóstwo prac, które stały się obowiązkową lekturą każdego młodego bankowca. Można go było też spotkać na licznych konferencjach i wykładach, gdzie prosto i przejrzyście opowiadał zaciekawionej publiczności o swoich doświadczeniach i pasji. Doszła do wniosku, że pan Anderson po prostu zapragnął zmiany, nic więcej i nic ponadto. Zadowolona z siebie przyspieszyła kroku, kontynuując przypuszczenia. Wielce prawdopodobne, że to właśnie potrzeba zmiany pchnęła pana Andersona w mury Google. Korporacja taka jak Google dała mu możliwość bycia kimś innym. Pozwoliła też obcować z młodymi, dynamicznymi ludźmi, z jakimi nie miał dotąd do czynienia.

Omijając kolejną kałużę, przypomniała sobie, że idąc korytarzem na spotkanie z panem Andersonem, mijala sale konferencyjne, które wystrojem zupełnie nie przypominały jego gabinetu. Jeden pokój szczególnie przykuł jej uwagę. Jaskraworóżowe krzesła o kanciastej bryle, sporych rozmiarów plazma na ścianie i piękny, ogromny, czarno-biały plakat przedstawiający uśmiechniętą Marilyn. Było to zdjęcie zrobione podczas jednego z licznych broadwayowskich

bankietów lat pięćdziesiątych. Marilyn w białej, obcisłej do granic możliwości sukience, otoczona grupką podnieconych mężczyzn. W typowy dla siebie zalotny sposób uśmiechała się do wielbicieli, sprawiając wrażenie, że znalazła się na przyjęciu przez przypadek, nie bardzo wiedząc, co robi pośród tylu znanych osobistości. „Lepiej być nieszczęśliwą samotnie niż nieszczęśliwą z kimś innym”, mawiała Marilyn. Piękna, nieobecna kusicielka wmanewrowana w rolę, której nie udźwignęła. W odróżnieniu od niej pan Anderson doskonale wiedział, co robi w swoim dekadencckim biurze. Szukał regionalnego dyrektora pionu eventów i Oliwia miała nadzieję, że tego poranka go znalazł.

– Oliwio, na Boga, dlaczego nie zadzwoniłaś od razu? Martwiłem się. – Janusz w typowy dla siebie sposób zaczął rozmowę od reprimendy.

Nie lubiła go takiego, być może dlatego długo zwlekała z telefonem. Zebrała się, by z nim pomówić, dopiero gdy wzięła długą kąpiel i wypila niemal duszkiem kubek gorącej kawy. Chwilę wcześniej zadzwoniła asystentka pana Andersona i wyraźnie podekscytowana przekazała jej dobre wieści. Małe kroczki do przodu, pomyślała Oliwia. Małe kroczki w stronę znalezienia swojego ja. Poczowała ogromną satysfakcję. Szczęśliwa otworzyła butelkę czerwonego wina i wzniosła samotny toast za sukces. Udało się. Gdy się już trochę zrelaksowała, postanowiła zadzwonić do męża. Wino smakowało wybornie.

Janusz miał świetny gust i to on wybierał butelki. Sprowadzał trunki czasem z najdalszych zakątków świata, by ich po prostu skosztować. Niektóre okazy wyłącznie kolekcjonował. Czasem przyłapywała go, jak z dumą patrzył na nietanie zdobycze ustawione w winniczce w kuchni. Parskała wówczas śmiechem, a on spoglądał na nią urażony.

– Wiesz, która jest godzina? – nie dawał za wygraną.

Naprawdę nie wiedziała. Cieszyła się chwilą. Straciła poczucie czasu. Wyciągnęła nogi na fotelu i uśmiechnęła się do ślubnej fotografii, wiszącej na śnieżnobiałej ścianie nieopodal. Oliwia w dopasowanej, niebanalnej, koronkowej sukni, pochyłona dyskretnie w kierunku Janusza. Oliwia i jej zielone oczy podkreślone dyskretnym złotym cieniem. Obok niej – miłość jej życia, przyszły mąż, który z wyraźną przyjemnością bawił się eleganckim bukietem karmelowych róż. Janusz wyglądał wspaniale w szytym na miarę smokingu. Uśmiechał się do niej zalotnie. Fotografia uchwyciła jedną z tych szczęśliwych chwil, które pamięta się całe życie. Choćby nie wiem co. Jak tylko wracała myślą, Janusz zawsze się prezentował taki wyszykowany, ustawiony i umeblowany. Na zdjęciu było to prawie niewidoczne. Stali wówczas przed dużym strzelistym kościołem, ciesząc się jedną z niewielu chwil, jakie mieli dla siebie tuż przed ceremonią zaślubin. Pamiętała, że w tamto popołudnie przepełniała ją radość. Z dala od gości i tłumu, z dala od przepychu, jaki sobie zafundowali, byli

szczęśliwi. Mieli wtedy o wiele mniej lat i o wiele mniej obowiązków.

– To jak, wchodzimy? – pytał ją przed kościołem.

– Wchodzimy, chyba że tchórzysz – żartowała i śmiała się głośno.

Wiele lat później, patrząc na jedno z tych niepozowanych zdjęć, które lubiła najbardziej, przyznała, że fotograf spisał się na medal. Ku jej zaskoczeniu w prezencie ślubnym podarował im to duże czarno-białe zdjęcie. Nawet oprawił je w metalową ciężką ramę, która wspaniale wkomponowała się w awangardowy styl ich apartamentu na Wilczej. Ilekroć popadała w zadumę, spoglądała na fotografię, próbując przywołać wspomnienia pogodnego życia, jakie wiedli przedtem. Bo przecież tak było. Niesamowite, że jesteście małżeństwem już sześć lat, pomyślała. Pownownie z sentymentem zerknęła na zdjęcie. Upiła łyk wina. Pachniało śliwkami. Pamiętała dzień ślubu jak przez mgłę. To chyba z przejścia i roztargnienia zapomniała wiele szczegółów tamtej lipcowej nocy.

– Wiesz, która jest godzina? – Głos Janusza krzyczał groźnie na linii.

*

Poznali się jeszcze na studiach. Wypatrzył ją w jednym z modnych sopockich klubów. Stała w „Złej Kobiecie”, ubrana w swoją ulubioną czarną sukienkę i sączyła drinka przy okrągłym barze. Wkoło szalał

nieokielznany tłum. Patrzyła na bawiących się ludzi i im zazdrościła – roześmiania, młodości ducha i odcierania od codziennych problemów. W ich uniesieniach i pożądaniami jutro nie istniało. Liczyło się tu i teraz. Cierpiała tortury, widząc emanującą z nich wolność. Za barem kręciła się dość tęga, sympatyczna blondynka, z budowy przypominająca niewielką niedźwiedzicę. Oliwii wydało się przez chwilę, że gdyby była inna, gdyby była ulepiona z innej gliny, i ona stałaby tam teraz z drinkiem w ręku na środku parkietu, obłapiając się z jakimś przystojnym turystą z Warszawy. Gdyby była inna, mogłaby jak oni rzucić się namiętnie w wir tańca i otrzeźwieć z tego szaleństwa dopiero nazajutrz. Wtedy w „Złej Kobiecie”, taka zwyczajna, nieoczekiwanie usłyszała głos skierowany wprost do małej niedźwiedzicy. W swej normalności i dojrzałości unosił się nad wszystkim i wszystkimi wokół.

– Poproszę coś mocniejszego.

Ten głos i jego normalność ją uratowały. Odcierały od ponurych myśli, którym się oddawała od czasu do czasu. Janusz, poznany tamtego wieczora, nie należał do wielomównych. Taki jej się właśnie spodobał. Czuli, że i on nie pasował do tej histerycznej kliki. Z miejsca go polubiła, choć do miłości i przywiązania było jeszcze daleko. Nie od razu opowiedział o rodzinie, pieniądzach i obowiązkach, jakie na nim ciążyły i ciążyć miały przez następny milion lat. Wydał jej się nawet uroczy z tą swoją

skrytością i małomównością. Dopiero po latach zrozumiała, że mężczyzna przy barze w pewnym sensie został skrzywdzony. Skrzywiony i zniewolony życiem w bogactwie oraz pozorach. Wydał się jej wtedy nad wyraz smutny.

Po wielu randkach, rozmowach i zwyczajnych miesiącach ich zwyczajnej znajomości pobrali się hucznie w starej posiadłości pod Warszawą. Ona marzyła o skromnym przyjęciu wśród najbliższych, jego rodzina natomiast oczekiwała wielkiej fety na miarę włoskiego wesela. A przecież świat rzeczy materialnych był jej obcy. Nie cierpiała na brak pieniędzy, a niemal nigdy ich nie miała. Gdy była młodsza, po prostu marzyła, by zbawiać świat. Nigdy nie pragnęła pieniędzy. Dała się w końcu przekonać nieugiętej matce Janusza. Miała dość jej wizyt i nagabywań. Poza tym nie wypadalo, w jej mniemaniu, zaczynać nowego życia od rozczarowań i wzajemnych wyrzutów. Godząc się na wystawne wesele, podpisała cyrograf. Uruchomiła lawinę zdarzeń, o których nawet nie śniła. Przed ślubem przez okrągły rok cierpliwie zносиła częste odwiedziny matki Janusza, która z precyzją snajpera planowała każdą minutę przyjęcia. Pod presją musiała obejrzeć dziesiątki sukien, posmakować mnóstwa tortów, obejrzeć niezliczoną liczbę udekorowanych sal weselnych i kościołów. Musiała też decydować o kwiatach, zaproszeniach i strojach druhen, których prawie nie znała. Rozczarowana uznała, że jej pomysłami nikt się nie przejmował.

Chwilami zdawało się, że Janusz brał ślub z własną matką, a nie z nią. Niezwykle trudno było jej wpłynąć na ugruntowane opinie jego rodzicielki. Z drugiej strony w głębi serca widziała, że ta wszystko robiła dla syna. Kochała go. Oliwia wiedziała, że ślub w hollywoodzkim stylu to spełnienie marzeń Janusza. To dla niego się nagięła. Dopiero po latach zrozumiała, że czyniła tak potem wiele razy, wbrew sobie i zagłuszając swoje marzenia. Rodzina Janusza miała mnóstwo wpływowych przyjaciół, którzy oczekiwali ich ślubu z ogromną ekscytacją. W dniu ceremonii jego matka, koścista pawica, tryskała humorem i pękała z dumy. A szacowni goście przez wiele tygodni komentowali na salonach szyk i elegancję przyjęcia. Oliwia tymczasem potraktowała ten dzień jak sztukę do odegrania, uśmiechała się i posłusznie pozowała do zdjęć, tańczyła do muzyki, piła wino i ani przez moment nie pozwalała sobie na chwilę zamyślenia. Nie chciała zacząć żałować dnia, który powinien być najpiękniejszy w jej życiu. Tylko wtedy przed kościołem, gdy byli sami, udało się jej poczuć ten dzień po swojemu. Bez gapiów, bez obcych ludzi. Wiele lat później, siedząc w kosztownym fotelu, w bogato urządzonym apartamencie na Wilczej, westchnęła głęboko na wspomnienie tamtej nocy i poczuła, że jest jej duszno. Mimo chłodu otworzyła na oścież okno w salonie i głęboko odetchnęła.

– Nie przesadzaj, kochanie – powiedziała po dłuższej chwili do męża. – Wiedziałeś przecież, gdzie

byłam i co robiłam – dodała. – Rozmowa zaczęła się trochę później niż planowano, i trwała dłużej, niż sądziłam. Poza tym przemokłam do suchej nitki i dopiero niedawno zdążyłam się osuszyć i przebrać.

Nie mówiła całej prawdy. Często pozwalała sobie wobec Janusza na małe kłamstewka. W chwilach ubarwiania opowieści miała poczucie niezależności i większej kontroli nad swoim życiem. Nigdy nie sądziła, że byłaby zdolna do konfabulacji. Dopiero małżeństwo uwolniło drzemiące w niej zdolności w tej materii. Nie czuła dumy z tego powodu. Z każdym, nawet błahym, kłamstwem budowała w głowie piramidę wyrzutów sumienia, która pewnego dnia musiała się zawalić.

– Trzeba było zadzwonić. Nie musiałybyś moknąć – odrzekł łaskawie. – Jak zwykle zrobiłaś po swojemu – dodał obrażony.

Zamknęła oczy z zamiarem odsunięcia od siebie poczucia winy. Nadąsał się nie na żarty. Odniosła dziś ogromny sukces i nie chciała popsuć sobie nastroju przez jego bezsensowne docinki. Postanowiła go udobruchać.

– Nie denerwuj się, Janusz. Zrozum, musiałam ochłonąć po rozmowie z panem Andersonem, a krótki spacer wydał mi się dobrym pomysłem – westchnęła niecierpliwie. – Nie zapytasz, jak mi poszło? – dodała z kokieterią w głosie.

Nie chciała się sprzeczać. Nie była typem kłótnicy, zaczepną kocicą, która czerpałaby przyjemność

z prowokowania spięć i rozładowań. Zdawała sobie sprawę, że temat powrotu do pracy działał na Janusza jak płachta na byka. Wiedziała też, że w końcu będzie musiała mu powiedzieć o swoim sukcesie i uznała, że lepiej zrobić to od razu. Wołała oszczędzić sobie widoku jego rozczarowania, gdyby miała rozmawiać z nim w cztery oczy.

– Oliwio, myślę, że poszło ci bardzo dobrze. Zapewne z pełną determinacją poddałeś się swojemu kaprynowi – powiedział i lekko kaszlnął. – Znasz jednak moje zdanie na ten temat. Uważam, że powinnaś zostać w domu przez kolejny rok i zająć się dzieckiem – dodał znudzony. – Przemysł to wszystko, zanim podejmiesz ostateczną decyzję.

Słowa Janusza zawisły nad nimi jak gradowa burza. Wiedział, co powiedzieć, by wprawić ją w poczucie winy. Długi czas poświęciła na wychowywanie dziecka. Tuż po zajściu w ciążę, po namowach Janusza i jego matki zrezygnowała z pracy, by w pełni oddać się roli żony i matki. Tułała się z kąta w kąt, zapychając dzień nicnierobieniem. Od dawna brakowało jej zajęcia, które byłoby odskocznią od codzienności. Tęskniła za miejscem, w którym mogłaby się realizować i zaspokajać swoją ambicję. Od pewnego czasu przygotowywała Janusza na swój powrót do pracy. On jednak uparcie nie dawał za wygraną i traktował jej pomysł jak kaprys, dziecinną fanaberię, która minie, jeśli nie będzie się o niej mówić. W sporadycznych rozmowach na temat zawodowych

planów żony niewzruszenie odnosił się do jej „matczynego obowiązku” trwania przy dziecku, póki „jest małe i potrzebujące”. Tak mówił, „matczyny obowiązek” i kropka. To jakby los przypieczętował jej powinność w dniu pojawienia się ich syna na świecie. Nie czuł, że wiele poświęciła. Nie rozumiał, że mimo ogromnej miłości do rodziny kochała także poczucie wolności i niezależności, którego miała niewiele, od kiedy została żoną i matką.

– Janusz, ja już podjęłam decyzję. Zresztą rozmawialiśmy o tym tyle razy. Zaczynam pracę w Google od poniedziałku. Pan Anderson zaproponował, abym jak najszybciej wdrożyła się w swoje obowiązki. – Zrobiła pauzę, by dodać sobie odwagi przed kolejnym starciem. Poczwała słodko-gorzki smak zwycięstwa. – Jeśli nie mogę liczyć na twój entuzjazm, proszę, abys chociaż raz postarał się zaakceptować moją decyzję, nie robiąc mi przy tym wyrzutów.

Oczywiście wyobraźni zobaczyła rozczarowanie Janusza unoszące się na linii, jego zafrasowaną minę i nieme niedowierzanie. Zapewne, gdy mówiła, zdążył już opaść na fotel, by zebrać myśli. Czekał na więcej i milczał.

– Kochanie, uda nam się wszystko poukładać. Zaufaj mi – dodała z nadzieją prawie szeptem, próbując przekonać jego i siebie. Pożałowała, że powiedziała mu to wszystko przez telefon.

Oczywiście nie tak to wyglądało na samym początku. Wiele lat wcześniej ich role się odwróciły i to

on musiał ją przekonywać. Janusz zabrał ją na parodniowy wypad do Rzymu. Nigdy wcześniej nie wyjeżdżała tak daleko. Po raz pierwszy leciała samolotem do obcego kraju. Okazała się dobrą uczennicą, bez większego trudu nauczyła się korzystać z pierwszej klasy, siedząc w prywatnym lounge przed startem. Różnica między podróżowaniem z pieniędzmi i bez nich była rażąca. Ostentacyjność, niepotrzebność i jaśkrawość bogactwa wydały się jej przesadne, zupełnie nie dla niej, a mimo to kusily. Pociągały ją przywileje ludzi bogatych, zarazem jednak czuła się winna. Korzystała przecież z pieniędzy Janusza i jego rodziny. Charakteru miała akurat na tyle, by mu opowiedzieć o swoich oporach, i wystarczająco, by przyjąć jego szczodrość i łaskawość i przyzwyczaić się po prostu do jego zamożności. Z każdym dniem mieszkania w apartamencie z widokiem na Trastevere poczucie winy się oddalało, a z czasem po prostu zniknęło. W końcu zaczęła się cieszyć luksusem i wygodami, z których mogła do woli korzystać. Rzym ją porwał i totalnie oszołomił.

Któregoś dnia wygrzewali się w promieniach wiosennego słońca na Schodach Hiszpańskich i przyglądali przetaczającym się tłumom turystów. Janusz cichy, trochę spięty, siedział schodek niżej. Widziała, że był zamyślony i nieobecny. Wyczuwając jego niepokój, ciągnęła uroczą paplaninę o wszystkim i o niczym. Starła się opowiadać barwnie i interesująco. Po kilku minutach zamilkła, akceptując

jego nieoczekiwaną zmianę nastroju. Wtedy wyjął z kieszeni marynarki granatowe pudełeczko. I już zrozumiała, skąd ta nerwowość i powaga. Zastygła w bezdechu, o dziwo nie w oczekiwaniu na to, co miała usłyszeć, ale z obawy, że nie potrafiła słuchać z miłością. I do końca swych dni będzie pamiętać, że w tamtym szczególnym momencie zamiast pewności w sercu poczuła wahanie. Nie potrafiła przywołać ani jednego słowa z jego nerwowego monologu. Zapamiętała jedynie swoje wątpliwości i walkę, którą toczyła w sobie, ze sobą, o siebie. Czekała na odpowiedź, Janusz się opanował i powściągnął pełen satysfakcji uśmiech. Milczał z nadzieją w oczach, trzymając ją za rękę. Opuściła głowę i przyglądała się jego pięknym dłoniom. Przez dłuższą chwilę nie poruszała się, nawet nie oddychała. Potem skinęła lekko głową, powstrzymując łzy. Teraz już Janusz śmiał się dziko i promiennie, podniósł jej głowę i pocałował ją zachłannie w usta. Poprosił, żeby nie płakała, bo to przecież najpiękniejszy dzień w ich życiu. Obejmował ją i całował mocno, jakby na zapas. Cały promieniał. Ona przez łzy patrzyła na jego roześmianą twarz i myślała, że nie jest pewna swoich uczuć. Szczęśliwa przy nim tylko bywała. Doszła do wniosku, że nic już nie zostało w niej z dawnej, pełnej życia Oliwii. W dniu, w którym przyjęła oświadczenia, poczuła pustkę, była przeświadczona, że oto oddała siebie mężczyźnie, od którego będzie zależna prawdopodobnie do końca życia.

Weekend przed powrotem do pracy okazał się trudniejszy niż miesiące znoszenia przed ślubem notorycznych wizyt matki Janusza, która z uporem przekonywała ją do wydania wystawnego wesela. Mimo irytacji, którą odczuwała, opierając się matce Janusza, to właśnie konsekwencję bardzo w niej ceniła. Była to jedna z wielu cech, która jej ogromnie imponowała także w Januszu. To dzięki zawziętości w dążeniu do celów odniósł tyle sukcesów, a jego rodzina zapracowała na miano jednej z najbardziej wpływowych i szanowanych w stolicy. Janusz był bardzo poukładany, od dziecka przygotowywano go do objęcia lukratywnego rodzinnego interesu. Gdy się poznali, wiele opowiadał o swoim dzieciństwie i krewnych. Z dumą kreślił obrazy z życia swoich dziadków, którzy z wielkim zaangażowaniem i poświęceniem zbudowali fundamenty sukcesu przyszłym pokoleniom. Trudno uwierzyć, że przed wojną rodzina Blacków zaczynała od niewielkiej kancelarii na Marszałkowskiej. Z czasem pomnożyła majątek, rozszerzając działalność do kilku punktów w stolicy. Obecnie obsługiwała większość korporacji, zapewniając im opiekę prawną. Nic dziwnego, Blackowie kształcili się w najlepszych szkołach, otaczali śmiałką towarzyską z branży i wpływowymi ludźmi spoza niej, i bardzo dbali o nieposzlakowany wizerunek. Ich usługi kosztowały majątek, gwarantowały

jednak rzetelność, dyskrecję i dbałość o najmniejszy szczegół. Klienci mogli spać spokojnie, powierzając swoje tajemnice tak znakomitym fachowcom.

Z czasem Oliwia odkryła, że w przypadku jej męża sukces miał też swoją cenę. W pogoni za doskonałością Janusz nie nacieszył się beztróskim dzieciństwem. Nie miał bowiem czasu na normalność i zwyczajność, którymi cieszyli się jego rówieśnicy. Od najmłodszych lat jego dni były wypełnione obowiązkami. A to lekcje tenisa, a to jazdy konnej, obowiązkowo też francuski i angielski, nie zapominając o lekcjach gry na pianinie. Z miłych wspomnień, którymi podzielił się z Oliwią pewnego dnia, zapamiętała, że ojciec zaszczerpił w nim miłość do książek. Książki mieszkały w bibliotecznym pokoju na parterze rodzinnej posiadłości. Biblioteka ojca stała się z czasem ulubionym zakątkiem Janusza. Oddalona od widnego salonu, była jego kryjówką i samotnią. Janusz przyznał się kiedyś Oliwii, że pewnej zimy próbował zrachować książki ojca. Było ich całe mnóstwo. Wylewały się z mahoniowych półek, zajmując ogromną przestrzeń pokoju. Nigdy się ich nie doliczył. Zwykle zasypiał na dywanie, przyglądając się historiom zamkniętym w twardych oprawkach. Lubił drzemać w bibliotece, zwłaszcza w chłodne dni, grzejąc się przy płonącym kominku. W bibliotece, o dziwo, nigdy nie zainstalowano głównego oświetlenia. Ojciec Janusza zakazał żonie wprowadzania jakichkolwiek zmian w jego świątyni. Miała uszanować

reguły w niej panujące i nie zadawać zbędnych pytań. Światło w bibliotece dawały małe ażurowe lampki, które zapalały się z charakterystycznym dla siebie syknieniem. Na podłodze leżał okazały puszysty dywan, którego długie beżowe włosie układało się w niewielkie okręgi. Dywan rozjaśniał pomieszczenie i dodawał mu ciepła. Janusz uwielbiał to miejsce. Spędzał w nim wszystkie wolne godziny między zajęciami, które planowała mu nadgorliwa matka. Często chował się przed opiekunkami i czytał, siedząc w skórzanym fotelu. Pokój pachniał cygarami i ojcem. Książki rozsiewały zapach starości, a meble wydzielaly woń drewna. Mieszanina ta była wyjątkowa i jedyna w swoim rodzaju. Książki były jego pasją i własnością. Ze względu na ogrom pracy ojciec Janusza nie miał wielu okazji opowiadać synowi kolorowych bajek na dobranoc. Dbała o to jego matka, Eleonora. Byli sobie bliscy i z biegiem lat upodabniali się do siebie. To Eleonora zaszczerpiła w synu poczucie obowiązku i przynależności do rodziny. To dzięki niej stał się do bólu poukładany. Przez lata nabywał bowiem umiejętności, które miały mu pomóc w dorosłym życiu. Rzadko kiedy Janusz decydował o tym, co mu wolno, a czego nie. Matka bardzo skrupulatnie nim kierowała, aby wyrósł na wyjątkowego mężczyznę, gotowego poprowadzić rodzinny biznes.

Przed ślubem Janusz lubił mówić o swojej rodzinie. Zwykle siadali w domu w wygodnych fotelach

i popijając wino, czytali lub zanurzali się we wspomnieniach. Lubiła słuchać jego spokojnego głosu, w tle zwykle cichutko grał nastrojowy jazz. Chwilami można też było dosłyszeć dźwięki dochodzące z ulicy. Janusz często podkreślał, jak bardzo był wdzięczny matce za trud, który włożyła w jego wychowanie. Nazywał je wzorcowym. Wiele razy, snując plany na przyszłość, mówił otwarcie, że będzie szczęśliwy, mogąc wychować własne dzieci w sposób, w jaki sam został wychowany. Oliwię nieraz przerażała wizja wyhodowania zapracowanej kopii Janusza. Nieraz raziła ją jego stanowczość w tej kwestii. Była jednak zbyt młoda i płochliwa, by wchodzić z nim w jakiegokolwiek dyskusje. Czasem nachodziła ją wątpliwość, czy mimo wdzięczności matce za metody wychowawcze Janusz był jako dziecko naprawdę szczęśliwy. Nierzadko, wpatrując się w niego, widziała przygaszonego chłopca chowającego się przed presją i wygórowanymi oczekiwaniami pośród książek w starej bibliotece ojca. Przez lata nie miał prawdziwych kolegów, nie miał nikogo, z kim godzinami mógłby grać w piłkę na szkolnym boisku lub włóczyć się bez celu ulicami. Z czasem stał się dość skryty, a przyjaźnie, które zawierał, okazywały się tymczasowe. Nie miał w sobie spontaniczności, nie robił nic pod wpływem emocji. Jego życie było zaplanowane na kilkadziesiąt lat naprzód. Oliwii wydawało się, że kim będzie i jaki będzie jej syn, Eleonora zdecydowała w dniu wydania go na świat.

Kiedyś, jeszcze przed ślubem, powiedziała Januszowi o tym jego przeznaczeniu, o jego powinności, która wisiała nad nim od dnia narodzin.

– A czy ty zawsze robisz to, na co masz ochotę, Oliwio? – spytał ją wtedy szorstko w odwecie za jej szczerość. Siedzieli w parku i rozmawiali. Zastanowiła się chwilę i kiwnęła twierdząco głową.

– Moj tata mawiał, że najbardziej żyje się wtedy, gdy chce się umrzeć w imię miłości.

Chyba właśnie za to ją pokochał: za niezależność, śmiałość i inność. Oliwia była inaczej młoda, inaczej niż wszyscy robiła i mówiła, co chciała. Zwłaszcza na początku ich znajomości, gdy nie przypuszczała, że coś wyjdzie z nowej relacji. W tamtych dniach nosiła w sobie pewien rodzaj złości, która odblokowywała jej pewność siebie i skłaniała do swobodnej rozmowy o wszystkim ważnym. W gruncie rzeczy nie sądziła, że sprawy potoczą się tak szybko i tak zobowiązująco. Po latach, gdy wspominała ich początki, dochodziła do wniosku, że mało się starała, aby ją polubił. Stało się to poza nią, gdzieś obok, poza jej staraniami. On zaimponował jej swoją statecznością i ułożeniem. Przewidywalność dawała jej gwarancję bezpieczeństwa, a jego rodzinność zapewniała opiekę i bliskość, których bardzo potrzebowała. Od kiedy zmarli jej rodzice, miała tylko jego. Otoczył ją rodziną, zapewnił poczucie stabilności i spokoju. Czuli się przy nim bezpiecznie, bo okazał się w jej oczach zraniony. Zraniony przez ambicje matki i te

wszystkie beztrudne dni, które mu tak stanowczo odebrała w dzieciństwie. Zakochała się w nim, a z czasem tak przyzwyczaiła do wspólnego życia, że gdy zaproponował małżeństwo, zgodziła się bez wahania. Chciała być kochana. Czyż mogła przewidzieć, że kilka lat po ślubie będzie musiała użyć wszelkich argumentów i siły, by mu się przeciwstawić, by móc zrealizować swoje zawodowe marzenia? Wiedziała, że powrót do pracy absolutnie nie wpasowywał się w plany Janusza i jego rodziny. Spodziewała się, że Janusz uruchomi silną i nieprzejednaną matkę, by ta wpłynęła na nią i skierowała bieg wydarzeń na tory, które wydawały się im najwłaściwsze. Decydując się wystąpić przeciw Januszowi, występowała przeciwko wszystkim.

W sobotę rano, tak jak Oliwia wcześniej przeczuwała, zadzwoniła Eleonora.

– Witaj, Oliwio, Janusz mówił wczoraj, że wybierasz się do pracy od poniedziałku. Co to za pomysł, jak to sobie wyobrażasz, moje dziecko? – spytała bez ogródek. Głos miała stanowczy, nietolerujący sprzeciwu.

Cała Eleonora. Wyraźna troska w jej głosie była zwykle udawana. Fakt, że przeszła od razu do rzeczy, świadczył o pilności i wadze sprawy, z którą chciała się uporać jak najszybciej.

– Dzień dobry, mamó. Wspaniałe wieści, prawda? Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę. – Oliwia mówiła spokojnie, zachowując czujność. Matka Janusza głośno sapnęła. Zapaliła swojego ulubionego

mentolowego papierosa i mocno się zaciągnęła. Z pewnością siedziała sztywno w swym ogromnym chabrowym fotelu, który stanowił centrum dowodzenia ich zimowej posiadłości. Oliwia widziała oczyma wyobraźni szczupłe, kościste nogi oplecione grafitowymi pończochami i oparte o miękki podnózek. Nieopodal na szklanym stoliczku stała już poranna kawa, zaparzona i podana przez zapracowaną gosposię. W salonie pachniało cynamonem i kardamonem. Eleonora, dyskretnie umalowana i nienagannie ubrana, gotowa była zacząć weekend i stawić czoło wszystkim piętrzącym się problemom. Zamiar powrotu synowej do pracy był pierwszy do rozwiązania tego poranka. Przystąpiła do niego z wrodzonym opanowaniem i skrupulatnością.

– Razem z Januszem uważamy, że na twój powrót do pracy jest stanowczo za wcześnie. – Zrobiła pauzę i zaciągnęła się papierosem. – Oliwio, pomyśl o dziecku – dodała spokojnie i rzeczowo.

Mówiła w imieniu swoim i Janusza. Oliwii nawet to nie zdziwiło. Uśmiechnęła się gorzko na myśl, że jej dorosły mąż konsultował niemalże wszystkie decyzje z matką. Eleonora była cichą armią Janusza. Wysyłał ją zawsze, gdy sam nie radził sobie z konfrontacją albo zbyt pochłaniała go praca.

Rozmawiając z teściową, Oliwia siedziała w sypialni, otoczona eleganckimi poduchami w kolorze jaśminu. Przyglądała się pustej poduszce, na której zwykle spał Janusz. Ze zdumieniem stwierdziła, że

brakuje jej Janusza, którego znała kiedyś. On wziąłby ją do parku, kupił kubek kawy i porozmawiał o swoich strapieniach. Nie nasyłałby na nią matki, prosząc o pomoc w rozwiązywaniu kwestii, z którymi sobie nie radził.

– To przemile, że tak się o mnie troszczycie. Bardzo mi to schlebia, mamó. Wszystko jednak przemyślałam i uważam, że już czas wrócić do pracy – powiedziała powoli, lekko się uśmiechając. Wiedziała, że tylko spokój i opanowanie pokonają upór i zaćmienie Eleonory. – W grudniu miną trzy lata, od kiedy przestałam pracować, czuję, że to dobry moment, by wrócić – dodała. Wstała z sofy i zaczęła deptać ścieżkę w sypialni. – Zdecydowałam, że po przedszkolu małym Erykiem zajmie się Magda. Obie wiemy, że Magda wspaniale się nim opiekuje, a podczas mojej nieobecności twój wnuk będzie w najlepszych rękach.

Stała w pół kroku, na odległość wyczuwając narastające napięcie na twarzy Eleonory. Filiżanka stuknęła nerwowo o talerzyk po drugiej stronie linii. Dla niej samej rozłąka z ukochanym dzieckiem jawiła się jako krok w przepaść. Kochała syna ogromnie, poświęciła mu się bez reszty. Zdawała sobie sprawę, że początki jej powrotu do pracy będą ciężkie. Mimo to wizja kontaktu z ludźmi i możliwość rozwoju zawodowego cieszyły ją tak ogromnie, że te kilka godzin poza domem wydawały się łatwiejsze do zaakceptowania. Była matką, była także kobietą,

która miała swoje pragnienia i życiowe cele. Magda natomiast, wiekowa opiekunka, polecona i sownie opłacana przez rodzinę Janusza, była doskonale wykwalifikowana. Przy tym ciepła i serdeczna, pomagała od pierwszych chwil po narodzinach dziecka. Była godna zaufania i pełna miłości. Z czasem Eryk przyzwyczaił się do jej obecności i traktował jak kogoś bliskiego, jak członka rodziny. Lubił siadać na jej pulchnych, szerokich kolanach z kartką w małych rączkach, gotowy rysować kolorowe kółka.

– Kochanie, ale dlaczego chcesz pracować dla Andersona? Janusz i ja uważamy, że nie ma takiej potrzeby. W odpowiednim czasie znalazłaby się dla ciebie praca w jednej z naszych kancelarii. Przecież to oczywiste, że możesz na nas liczyć w tej kwestii.

Opanowana na powrót Eleonora postanowiła sięgnąć po stary zamysł. Teściowa postradała zmysły, myśląc, że Oliwia przyjęłaby ofertę pracy w rodzinnej kancelarii męża. Eleonora z pełną świadomością wyłożyła karty na stół, wiedząc, że Janusz jeszcze nie zdążył przedyskutować z żoną propozycji pracy. Wiedząc, jak bardzo Oliwia ceniła sobie niezależność, podejrzewała, że Janusz najprawdopodobniej nigdy by się nie zdobył na wyjście do niej z taką ofertą. Znał ją zbyt dobrze.

– Oliwio, proszę cię o rozwagę – dodała teściowa jakby mimochodem, z lekkim znużeniem w głosie.

Oliwii zrobiło się nagle potwornie duszno. Podbiegła do okna i otworzyła je na oścież, wpuszczając

do apartamentu strumień zimnego powietrza. Stała oparta o szybę i przyglądała się miastu, które leniwie budziło się do życia. Oddychała głęboko, próbując uspokoić skołatane nerwy. Gdyby mogła, zaczęłaby krzyczeć. Gdyby wypadało, rzuciłaby słuchawką o ścianę i skończyła tę bezproduktywną, pozbawioną sensu rozmowę. Była bliska wybuchu. Po raz kolejny, od kiedy się znały, Eleonora zagrała na jej ambicji i poczuciu wartości. Odzyskała panowanie nad sobą po dłuższej chwili i na powrót zaczęła myśleć logicznie. W tym czasie Eleonora zdążyła wydać gosposi instrukcje obiadowe, upiła łyk kawy i zgasiła papierosa, tłumiąc do reszty zapach cynamonu i kardamonu unoszący się w salonie. Matka Janusza była usatysfakcjonowana. Świadczył o tym ton, z jakim wydawała polecenia, i jej ledwie słyszalne na linii radosne pomrukiwanie.

– Mamo – zaczęła spokojnie Oliwia i powstrzymując łzy rozczarowania, postanowiła zakończyć rozmowę z klasą.

Nie chciała dać Eleonorze poczucia tryumfu i pokazać, jak bardzo zraniła ją ta idiotyczna propozycja. W pełni już opanowana zamknęła okno i upewniła się, że Janusz z małym Erykiem bawili się w innym pokoju. Postanowiła, że zrobi wszystko, by rozebrać rozmowę do końca i nie dać się wyprowadzić z równowagi. Na szali ważyła się nie tylko jej kariera i ambicja, zrozumiała także, że walka toczy się głównie o jej niezależność i prawo do podejmowania

samodzielnych decyzji. Powoli, ważąc słowo po słowie, powróciła do rozmowy:

– Zdziwiłaś mnie swoją propozycją, mamó, rzeczywiście twoja oferta jest szcudra i bardzo kusząca. Niestety, jak pamiętasz, nie mam pojęcia o prawie i nie wiem, do czego mogłabym się wam przydać. – Wzięła kilka głębszych wdechów, by kontynuować gorzką maskaradę. – Najlepiej, jak porozmawiam z Januszem. On doskonale doradzi, jak pokierować moją karierą, bym w przyszłości mogła dołączyć do firmy w pełni kompetentna. – Na razie, jeśli pozwolisz, zacznę pracę w Google. Potraktujmy to jako rozgrzewkę przed moim przyszłym prawdziwym zajęciem.

Ostatnie słowa wypłynęły z jej ust, nabierając dźwięcznego pogłosu. Oliwia uśmiechnęła się do Eleonory i usiadła z powrotem na łóżko, znów opanowana i spokojna. Wypadła przed teściową naturalnie i przekonująco. Świadomie umniejszyła swój sukces zatrudnienia w Google, nazywając go rozgrzewką. Celowo wciągnęła do tej rozgrywki Janusza, wskazując, że będzie odpowiednią osobą, która pomoże jej obrać właściwą drogę, by w przyszłości mogła dołączyć do rodzinnego interesu. Czowała, że przekonała Eleonorę i osiągnęła chwilowe zwycięstwo. Wywalczyła czas, którego potrzebowała, aby stanąć na nogi i odbudować pewność siebie. Gdy matka Janusza upomni się w przyszłości o wypełnienie złożonej obietnicy, będzie gotowa przeciwstawić się jej ze zdwojoną siłą.

Tymczasem Eleonora bezgłośnie odłożyła słuchawkę. Przymknęła powoli oczy i popadła w zadumę. Siedziała chwilę bez ruchu, trawiąc przebieg rozmowy z synową. Po kilku minutach zawieszenia zawołała gosposię i poprosiła o proszki na ból głowy. Migrena miała się zacząć tego poranka i trwać aż do późnego wieczora. Eleonora opuściła salon, powłócząc starymi nogami, by udać się do sypialni na piętrze i oddać rozważaniom. Mimo wczesnej pory zasłoniła rolety i opadła całym ciężarem na łóżko.

*

Od kiedy Oliwia rozpoczęła pracę w Google, jej dni intensywnie wypełniły się obowiązkami. Miały szybko jeden po drugim. W domu na Wilczej nastał wreszcie spokój. Wypracowali sobie rutynę, która pomagała przetrwać tydzień. Janusz w końcu zaakceptował fakt, że Oliwia wróciła do pracy. Po telefonicznej potyczce z matką nie wracali więcej do tematu. Co drugą niedzielę jedli brunch w modnych hotelach Warszawy. Podczas rodzinnych spotkań najczęściej poruszali kwestie biznesowe. Rodzina Janusza wymieniała poglądy o klientach, rozwodziła się na temat nowych lukratywnych kontraktów lub żywo dyskutowała o napotkanych trudnościach w otwartych sprawach. Rzadko rozmawiano o jej pracy. Ojciec Janusza kilkakrotnie próbował do niej nawiązać, jednak za każdym razem jego wysiłki

szły na marne. Eleonora wpatrywała się w męża ze wzmożoną niechęcią. Zabijała go wzrokiem. A potem zazwyczaj sprytnie uciniała temat. Ukręcała diabłu głowę bez mrugnięcia okiem. Oliwia miała wrażenie, że teściowa śledzi wszystko i wszystkich swoim starym, sokolim wzrokiem. Po kilku nieudanych próbach zagadnięcia o pracę w Google nawet ojciec Janusza dał za wygraną i przestał zadawać niewygodne pytania. Zapobiegał tym samym wzbierającym w atmosferze wyładowaniom.

Teść wydawał się jej najbardziej znudzony niedzielnymi spotkaniami. Często oddalał się dyskretnie do palarni dla gentlemanów i spędzał tam zdecydowanie zbyt wiele czasu. Jego jedyne uważała za swego stronnika i nieraz żałowała, że nie mogła mu towarzyszyć. Podczas rodzinnych spotkań Oliwia nauczyła się robić dobrą minę do złej gry. Od pewnego czasu bywała w rozmowach oporna i trudna. Odkąd miała pracę, przestała mieć kogokolwiek ponadto. Trwała u boku Janusza, udając, że ma się dobrze. Coraz bardziej raniła ją jednak bezkompromisowość Eleonory i uległość męża. Mimo to w głębi duszy czuła zadowolenie. Podjęła pracę, która ją satysfakcjonowała. Powróciła do robienia tego, co kochała. Pękała z dumy, że udało jej się prowadzić część życia bez udziału Blacków.

Mimo obowiązków bywania na rodzinnych zjazdach lubiła nową codzienność i dobrze się w niej odnajdywała. Magda, opiekunka Eryka, przychodziła

co dzień dość wcześnie, by przygotować śniadanie i zająć się chłopcem. Wszyscy krzatali się po domu i szykowali do swych zajęć. Często w tle BBC raportowało o wydarzeniach minionego dnia. Przy ciekawszych newsach Janusz zastygał z jedną nogą w salonie, a drugą w jadalni i pilnie słuchał napływających wiadomości. Jego niepodzielna uwaga wprowadzała go w trans, podczas którego odbierał wyłącznie dźwięki płynące z telewizora. Nie przeszkadzały mu wówczas ani głośne śpiewy syna, ani odgłosy domowej krzątany. Eryk, wypoczęty i pełen energii, lubił pędzić przez korytarz czerwonym autem, a najlepiej dwoma, pokonując drogę z salonu do kuchni. Krzyczał przy tym radośnie i głośno się zaśmiewał. Magda, bojąc się nieraz, że maluch zrobi sobie krzywdę, biegała za nim, ciężko dysząc i błagając, by się zatrzymał. Stałym punktem ich poranków było wspólne śniadanie. Odprawa i ładowanie akumulatorów przed nadchodzącym dniem. Pośród zapachu kawy i świeżych bułeczek siadali w przestronnej, jasnej jadalni i cieszyli się rodzinnymi chwilami – było ich tak niewiele. Do śniadania dołączali wyszykowani i elegancko ubrani. Janusz zwykle przyjacielsko pytał o plany bliskich na nadchodzący dzień, a potem dość często narzekał na pogodę. Kiedy tryskał świetnym humorem, brał Eryka na kolana i pozwalał mu zjeść mały kawałek czekolady. Zaraz po śniadaniu zrywali się od stołu. Wkładali na siebie płaszcze, nasuwali buty i już ich nie było.

W tygodniu Magda odprowadzała Eryka do przedszkola i pod nieobecność rodziny zajmowała się domem. Gdy wracali z pracy, mieszkanie błyszczało. Wszystko leżało na swoim miejscu, w drzwiach witał ich uśmiechnięty Eryk, rozchodził się zapach obiadu. Oliwia lubiła te chwile, zwłaszcza zimą, gdy po całym dniu wracała do przytulnego apartamentu na Wilczej. Zwykle przebierała się w wygodny strój i szalała z synem do późnych godzin. Po rysowaniu, zabawie w chowanego i turlaniu po podłodze lubili się wyciszać w salonie, siedząc w półmroku na dywanie nieopodal obszernego okna, które nazywali swoim obserwatorium. Mocno przytuleni patrzyli na pogrążone w mroku ulice. Nierzadko w milczeniu celebrowali wspólny czas. Eryk lubił opowiadać historie osób, które zdołał wypatrzyć na ciemnych ulicach miasta. Mówił o piesku, do którego nagle zadzwonił telefon i pilnie musiał wrócić do domu. Opowiadał o staruszce, którą strasznie bolały plecy i dlatego szła ulicą nadzwyczajnie wygięta. A dzieci bawiące się nieopodal zapewne czekały na mamę, by razem wrócić do domu i zjeść ciepłą kolację. Uwielbiała swego syna. Z każdym dniem kochała go coraz mocniej. Zaskakiwała ją jego mądrość i kreatywność. Był jej światłem, był jej duszą. Każda chwila spędzona z nim dodawała jej sił na kolejny dzień. Janusz wracał do domu dużo później. Najczęściej zdążał na kąpiel Eryka. Zrzucał prędko płaszcz, rozluźniał krawat i pędził do łazienki pobawić się

z synem. Najczęściej siedzieli w przestronnej łazience we trójkę. Eryk opowiadał o kolegach, śpiewał przed-szkolne piosenki. Przykucali nieopodal na chłodnej kamiennej posadzce i cicho rozmawiali. Kładli się do łóżka późno w nocy. Janusz zwykle zapadał w sen, próbując przebrnąć przez gazetę. Ona, leżąc zwrócona do okna, zasypiała podczas liczenia ośnie-żonych dachów szarych warszawskich budynków.

Czasem przed snem rozmyślała o pracy, próbując trzeźwo i obiektywnie ocenić, jak jej szło. Zastana-wiała się, czy robiła wystarczające postępy. Praca z panem Andersonem okazała się spełnieniem jej za-wodowych marzeń. Skryty i profesjonalny, rozważny i pomocny szef okazał się wybornym mentorem. Odkrywał przed nią tajniki zarządzania, uczył, jak wpływać na ludzi. Zapoznał ją ze sztuką profesjona-lnych negocjacji i etycznych rozwiązań, dzięki którym osiągnęli wyznaczone sobie cele. Poznał ją z kluczową grupą klientów, zabierał na biznesowe lunche, dawał wskazówki, jak mówić, by ludzie słuchali. Nauczył ją szacunku do milczenia, które nieraz okazywało się złotem, dając klientom czas na podjęcie dobrej z ich punktu widzenia decyzji. Pan Anderson z szacunkiem odnosił się do niej i do jej pracy. Dał jej wystarczająco dużo czasu na wejście w strukturę i obowiązki. Dał jej czas, by wgryzła się w klimat firmy i poznała jego oczekiwania. Rozumieli się bez słów. Pan Anderson dużo czasu spędzał poza biurem, rzadko można było go spotkać w otoczeniu młodej kadry zarządzającej.

Kilkakrotnie widziała go przechadzającego się po kolorowych korytarzach z zafrasowaną miną. Kawę podawała mu zwykle asystentka, spotkania organizował u siebie w gabinecie. Gdy jej pilnie potrzebował, dawał dyskretnie znać, że chce ją zobaczyć u siebie. Przyjmował ją w gabinecie, siedząc w ciężkim mahoniowym fotelu. Na ścianie wisiały te same piękne obrazy, do których zdążyła się już przyzwyczać. Bardzo lubiła przebywać w dekadentckim gabinecie szefa i słuchać jego głosu. Gdy był w kiepskim humorze, uśmiechała się do niego lekko, rozładowując napiętą sytuację. Dogadywali się wyśmienicie. Ona pozostała mu wdzięczna za zaufanie, jakie jej okazał, przyjmując do swego zespołu. On natomiast doceniał jej pracowitość i lojalność. Traktował ją jak utalentowaną uczennicę, którą trzeba nakierować i oszlifować. Był cierpliwy i mądry, umiejętnie potrafił stawiać na swoim dzięki doświadczeniu i wybornej sztuce konwersacji. Rozmawiali wyłącznie na tematy zawodowe. Pan Anderson nigdy nie poruszał niczego, co wykraczałoby poza ich wzajemne relacje biznesowe. Nie stwarzał okazji, by mogła się przebić przez jego profesjonalną, twardą skorupę. Nie łączyła ich nawet przyjaźń, lecz wzajemny szacunek i zawodowa fascynacja. Nie chcąc się ośmieszyć, nie ośmieliła się ani razu spytać pana Andersona o powód jego zatrudnienia w Google. Wierzyła, że wszystkiego dowie się później, w swoim czasie.

Mijały dni, tygodnie i miesiące. Zima trzymała się kurczowo szarych murów stolicy i nie chciała odpuścić. Niewielu mieszkańców można było spotkać na ulicach zimnej i ponurej Warszawy. Po pracy najczęściej zakotwiczali się w swych rozgrzanych domach lub masowo brnęli do centrów handlowych w poszukiwaniu urozmaicenia nudnej, mglistej rzeczywistości. Zbliżał się marzec, a tu ani śladu końca zimy: za oknem padał mokry śnieg, zapowiedź kolejnego tygodnia wszędobylskiej pluchy i niepogody. Była sobota. Siedzieli w swym przytulnym salonie apartamentu na Wilczej. Eryk, zgięty wpół, układał ambitnie puzzle o piratach. Przycupnął w skupieniu na miękkim jasnoszarym dywanie. Na nogach miał ulubione kalosze, które kilka minut wcześniej wygrzebał z szafy w korytarzu. Nie mógł się doczekać wiosny. Janusz siedział zrelaksowany w fotelu, popijając świeżo zaparzoną aromatyczną kawę. Czytał poranną gazetę. Od czasu do czasu pomrukiwał do siebie, wyrażając aprobatę lub dezaprobatę wobec tego, czego się dowiadywał z prasy. Oliwia czytała książkę, leżąc na sofie nieopodal Janusza, kiedy nieoczekiwanie zadzwonił telefon. Nie od razu usłyszała jego dźwięk. Uniosła głowę, zerknęła z ciekawością w stronę aparatu i ją замуrowało. Dzwonił pan Anderson. Wyciągnęła rękę po telefon.

– Oliwio, przepraszam, że ci przeszkadzam w dzień wolny od pracy. Muszę cię jednak widzieć u siebie.

Mam ważną sprawę do przedyskutowania. Nie może czekać do poniedziałku.

Pan Anderson dzwonił do niej w sobotę rano. Miał pilną sprawę i wzywał ją do biura. Spojrzała na Janusza, który z zaciekawieniem podniósł głowę znad gazety.

– Rozumiem, że to coś pilnego. Będę u pana za pół godziny.

Rozłączyła się. Pan Anderson zaintrygował ją swoim telefonem. Zaciekawiał nagłą potrzebą spotkania. Janusz złożył gazetę i dopił kawę. Skinął w jej kierunku porozumiewawczo, lekko się uśmiechnął i skierował w stronę Eryka. Przez chwilę dostrzegła w jego oczach błysk dumy. Zerwała się i pobiegła do garderoby. Włożyła na siebie ulubiony kostium Versace, prosty i elegancki, w sam raz na ważne spotkanie. Wyczuwała, że tego dnia zdarzy się coś wyjątkowego. Pomalowała usta rozświetlającym błyszczkiem i stukając głośno obcasami, przeszła korytarzem w stronę drzwi wyjściowych.

– Wrócę niebawem.

Zamknęła za sobą drzwi i już jej nie było.

Dotarła na miejsce po kilku minutach. Zaparkowała auto w pustym podziemnym garażu i nowoczesną windą dostała się na ostatnie piętro biurowca. Zawsze z wielką obawą korzystała z pracowniczej windy. Była jej zdaniem niepotrzebnie przeszklona i zbyt mała. Nawet podłogę zamontowano ze szkła. Zdecydowanie nie budowano jej z myślą o osobach

z lękiem wysokości. Oczywiście wyobraźni widziała, jak dźwig nagle się zacina i więzi ją godzinami. Tymczasem dotarła na górę w błyskawicznym tempie i całkiem bezpiecznie. Nikogo nie zastała na piętrze. Przypomniała sobie, że to przecież sobota. Dzień wolny od pracy. Szła pustym korytarzem, mijając znużone biurka. Z niecierpliwością oczekiwały poniedziałku i swych właścicieli. Skierowała kroki prosto do gabinetu pana Andersona. Zdjęła ostrożnie płaszcz i powiesiła go na wieszaku obok drukarki. Wypostawiona, z lekko uniesioną głową stanęła u progu gabinetu. Delikatnie zapukała.